

ADAM RODZIŃSKI

O ALTERNATYWACH W KULTURZE

Rozważania, jakie zamierzam tu przedstawić¹, usytuowane są na osi związków zachodzących pomiędzy osobowością a kulturą — ściślej zaś mówiąc — na linii powiązań kultury wewnętrznej jednostek ludzkich z kulturą społeczną jako zbiorowo akceptowanym stylem życia. Główny akcent położony będzie na osobowość, na tę aksjologiczną otoczkę, w jaką obleka się sama osoba ludzka — ów podmiot najgłębszy, będący źródłem inwencji, a w ślad za tym i konwencjonalizacji kulturowej. To oblekanie się osoby w osobowość w toku określania się i stanowienia o sobie realizowane jest w aktach preferencji, świadomego wyboru pomiędzy różnymi konkurującymi z sobą wartościami. Tak rodzi się wszelki styl życia zarówno indywidualny, jak zbiorowy. Nie przeczy temu fakt, że ów styl życia — na ogół biorąc — przejmowany bywa przez jednostkę od innych ludzi na drodze wychowania i kształcenia; zawsze przecież mieści on w sobie jakąś — choćby niedopracowaną wizję czy koncepcję życia i ostatecznie ktoś tę koncepcję czy wizję inicjuje, nie tylko zresztą na użytek własny.

Człowiek dojrzewając osobowościowo dojrzewa do wewnętrznej autonomii. Mam tu na myśli nie tylko wolność woli wyrażającą się w konkretnych aktach wyboru (czy choćby tylko docenienia) czegoś co dostrzeżone zostało jako tak czy inaczej wartościowe, ale przede wszystkim wolność wyboru zasad mających kierować — czy sterować — tego rodzaju decyzjami: zarówno tymi podejmowanymi potocznie i na co dzień, jak i tymi ekstraordinaryjnymi, rzucającymi szczególnie jasne światło czy wyjątkowo długi cień na nasze życie.

Wybór kluczowych zasad przesadzających na dłuższy dystans o kierunku naszej dalszej drogi dokonuje się w nas raczej *implicite* niż *explicite*: a więc czasem wręcz niepostrzeżenie. Kryją go w sobie wydarzenia również pospolite, jakieś drobne zazwyczaj sprawy życia codziennego za-

¹ Wykład wygłoszony 27 II 1980 r. w ramach Tygodnia Filozoficznego na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

łatwiane zgodnie z taką czy inną motywacją. W gąszczu tego rodzaju autodeterminacji osobowościowych człowiek spontanicznie dąży do czegoś, co można by nazwać życiową czy ogólnozyciową konsekwencją. Z chaosu czyni „kosmos”, z żywiołu jakiś ład — przede wszystkim swój własny, wewnętrzny, teleologiczny. Warto zauważyć, że nie tylko ludzka, ale wszelka w ogóle natura ożywiona dąży do jakiejś właściwej sobie konsekwencji w zakresie form i norm. Tak więc raczej samorzutnie (z tym, że — jak ludziom przystało — w sposób również racjonalnie przemyślany) porządkujemy sobie to wszystko, co w życiu naszym zależy od nas samych, rozkładamy na tym wszystkim akcenty takie, a nie inne — i w rezultacie nadajemy temu wszystkiemu pewien wspólny styl: ową podziwu czasem godną jedność bardzo nieraz różnorodnych epizodów składających się na naszą ziemską — powszednią i świąteczną — egzystencję.

Termin „styl” należy tu umieścić w cudzysłowie; jest to bowiem narzędzie myślenia przeszczepione z estetyki lub z teorii literatury na inną, szerszą płaszczyznę, z pewnymi więc obciążeniami „dziedzicznymi”, jeśli tak wolno się wyrazić. Wiadomo w każdym razie z grubsza, o co chodzi: właśnie o tę jakąś „logikę”, z której wypływa określony kształt i sens, logikę, konsekwentnie przestrzeganych wzorów i modeli kulturowych², ujmowanych tu zresztą nie czysto morfologicznie, lecz aksjologicznie przede wszystkim. Chodzi więc najogólniej o to, ku czemu w zachowaniu swoim zwraca się dany człowiek, jak się w tym i poprzez to wszystko uzewnętrznia, co ewentualnie zamierza zabrać z sobą w inny, „tamten” — jak się go określa — świat.

Rozważania o stylach życia stały się u nas modne; sporo na ten temat cennych i ciekawych prac napisano ostatnio w naszym kraju³. Kiedy blisko dwadzieścia lat temu — w ramach sympozjum poświęconego „kulturze współczesnego społeczeństwa” — zgłaszałem swoje pierwsze uwagi dotyczące tego tematu, ani przypuszczałem, że zrobi on kiedyś karierę i to błyskotliwą. Najwidoczniej jednak są takie pojęcia oraz odpowiadające im terminy, które muszą czekać na jakiś „swój czas”, choć znane są one od dawna, jak np. — żeby zaczerpnąć z całkiem innej beczki — „osoba” czy jej swoista i niezbywalna „godność” wprowadzona

² „Wzór” (ang. „pattern”) wiąże się z przymiotnikiem „wzorzysty”; jest to więc pewien sposób („deseń”) faktycznego postępowania będący odpowiedzią na jakiś problem sporadycznie się pojawiający; „model” natomiast to taki sposób zachowania, który rozumiany jest jako „wzorowy” i jako taki akceptowany lub zalecony do akceptacji w danej grupie.

³ O stylach życia pisali m. in.: B. Suchodolski, A. Siciński, A. Jawłowska, A. Pawełczyńska, M. Czerwiński, B. Gałęski, W. Tołstych.

do etyki normatywnej nie tylko z metafizyki moralności, ale i po prostu z życia.

Pora jednak kierować się ku sednu sprawy. Leży tu ono w tym, że o ile człowiek w kulturach prymitywnych działając pod naciskiem elementarnych konieczności ustala raczej tryb życia niż styl, o tyle w tej poszerzonej — i stale poszerzającej się wbrew pozorom — „szczelinie wolności”, w jakiej współcześnie żyć wypada coraz szerszym kręgom ludzkiej populacji, dochodzą coraz mocniej i trwalej do głosu predylekcje i preferencje indywidualne i grupowe zrodzone z czyjejs pomysłowości czy zgoła fantazji i one to właśnie obejmują we władanie i zagospodarowują w znacznej mierze i na swój sposób nasz dyspozycjonalny, pozasłużbowy czas. W godzinach pracy zawodowej z natury rzeczy jest inaczej: jej warsztat taki czy inny ma swoje czysto rzeczowe wymagania, trudno mówić tu o jakimś stylu, choćby chodziło na tym warsztacie o coś więcej niż przykręcanie śrub czy wbijanie gwoździ; wszak „służba nie drużba”, jak mówi stare a mądre przysłowie. Niemniej era wolnego czasu rozpoczyna się już na dobre, a „motory dziejów”, które nas w nią wniosły, działają w cywilizacji wielkoprzemysłowej z rosnącym — jak wiadomo — przyspieszeniem. Człowiek po załatwieniu tego, co konieczne, staje więc coraz częściej przed jeszcze jedną koniecznością: dosyć niekiedy kłopotliwą dla niego „koniecznością wolności”, czyli swobodnego zadecydowania, a raczej ciągłego decydowania o tym, na jaką modłę nawiązywać ma i zacieśniać kontakty interpersonalne w życiu towarzyskim, jak „odnudzać się” nie tylko od święta, ale i w dniu swoim powszednim, ku jakiej dziedzinie kultury wolnoczasowej skierować swoje zainteresowania i swoje życiowe aspiracje w ramach owego poszerzającego się coraz okazalej wachlarza obiektywnych szans i subiektywnych możliwości jawiących się w rozmaity sposób jako atrakcyjne.

Człowiek współczesny zdaje się niekiedy w tej materii na żywioł zupełnie przypadkowości czy improwizacji zależnej od doraźnego nastroju czy humoru; na ogół jednak żywi ambicję zapanowania nad tym bałaganem, w jaki został niejako wrzucony, ambicję odpowiadającą jak najbardziej logice ludzkich dziejów, które są dziejami nie tylko „napełniania ziemi”, ale i poddawania jej pod człowieczą władzę. Czując się podmiotem osobowym, a nie tylko przedmiotową „rzeczą pośród rzeczy”, pragnie człowiek zachowywać tę świadomość „bycia kims”, pozostawać sobą, ocalić swoją jedność wewnętrzną przed rozmieleniem jej na jakieś „drobne” bez reszty. Dlatego właśnie tak ważne dla niego okazuje się nie tylko ogarnianie bacznością bezpośredniego swego otoczenia na tle całości świata zewnętrznego, ale i tych różnych wewnętrznych cech, dyspozycji i nastawień, jakie zdolne są nadać jego swobodnym zaan-

gażowaniom główny ton, wyznaczyć im jakąś wspólną morfologiczną i aksjologiczną dominantę, ową jakby oś, wokół której oscylować mają jego konkretne opcje na rzecz ile możności harmonijnie i „dopasowując” selekcjonowanych wartości kultury — czy to ludowej, czy to masowej, czy to elitarnej.

Chodzi tu przy tym — co podkreślić warto — nie tylko o to, co się konkretnie wybiera, ale — może przede wszystkim — i o to, jak to jest wybierane, jakie się temu nadaje zabarwienie emocjonalne i (co nie mniej ważne) jaki sens płynący z odniesienia tego wszystkiego do naczelných celów życia (pojmovanych też jakoś po swojemu i na rachunek własny. Weźmy np. pod uwagę dwóch ludzi: wierzącego i materialistę. Dla pierwszego wszystko się tu na tym świecie zaczyna, ale nic się na dobre nie kończy; w przekonaniu drugiego wszystko kończy się tu wcześniej czy później tak definitywnie, że — skoro koniec końców ma być kiedyś tak, jakby w ogóle nigdy nic nie było — nic się właściwie tutaj na dobre, „raz na zawsze” nie zaczyna. Samo słowo „być” ma więc w jego świadomości sens inny, a jest to przecież słowo podstawowe dla koncepcji życia, dla poziomu jego i jakości.

Możliwości, jakie dziś pod względem stylu życia w jego wymiarze indywidualnym i zbiorowym nastroczają się przeciętnemu obywatelowi społeczności śródziemnomorsko-atlantyckiej, są aktualne również u nas *mutatis mutandis*; mówią o nich — przynajmniej w całym zachodnim świecie — takie alternatywne hasła wywoławcze, jak *homo actor*, *homo auctor* (jedna litera więcej, ale różnica bardzo zasadnicza, bo w pierwszym wypadku chodzi o to, co efektowne, a w drugim akcent pada na efektywność działania); albo *homo migrator* czy *homo vagus* owładnięty niespokojnym duchem szwendania się po świecie, a z drugiej strony sedenteryjnie usposobiony *homo domesticus* czy *homo televisiensis*. O możliwościach różnego modelowania siebie świadczą takie ogólne ukierunkowania kulturowo-osobowościowe szczególnie wyraźnie, jak że unaczynają ową (dość zresztą paradoksalną) konieczność swobodnego wybierania, o jakiej była już mowa, i jaką teraz — na tego rodzaju kanwie rozsnutą — wypada nam z kolei prześledzić.

Spotykamy się tu mianowicie z czymś, co można by nazwać „Janusowym obliczem kultury” — kultury ukazującej jakby dwie swoje twarze, dzięki którym to twarzom patrzy ona równocześnie „na prawo i na lewo”, a więc w kierunkach przeciwnych diametralnie. Porównanie to o tyle wydaje się tu jeszcze trafne, że chodzi częściej o samo tylko przeciwieństwo, a nie o sprzeczność w rodzaju tej, jaka się zaznacza pomiędzy jakąś wartością a prywacją tejże, czyli antywartością występującą w jakiejś dziedzinie kultury. Innymi słowy, mamy do czynienia w zakresie ogólnych sposobów układania sobie życia z biegunową opozycją jakichś

dwu konkurujących z sobą ogólnozyciowych orientacji, pomiędzy którymi również jakieś „tertium” się pojawia, więc jakaś szansa na uzgodnienie antagonistycznych takich postaw czy nastawień, przewyciężenie ich w teorii i praktyce. Człowiek może wówczas — a często i powinien — poruszać się w polu takiego niekontradyktoryjnego „albo — albo” pilnie bacząc, jak funkcjonują w jego życiu i zachowaniu te jakieś dwa wektory zasadniczo dość rozbieżne, które jednak mogą niekiedy okazać się solidarne i komplementarne; tak też zazwyczaj postępuje każdy, kto świadom jest tego, że w przeciwnym razie grozi mu jakiś monoideizm czy wręcz monomania.

Istnienie i działanie tego rodzaju alternatyw w naszej kulturze osobistej i zbiorowej unaocznić warto na przykładzie. Weźmiemy więc pod uwagę jedną taką parę kontrastujących z sobą pojęć, którym odpowiadają zamięłowania i dążności niewątpliwie w życiu antagonistyczne: będzie to wygoda i przygoda.

Na początek przyjrzyjmy się wygodzie. Czym ona jest, wie każdy z własnego doświadczenia, zwłaszcza z tych doświadczeń, w których kontrastuje z niewygoda. Samo jej pojęcie okazuje się zakresowo dość rozległe, co wiąże się z pewnym zanalizowaniem jego treści; np. gdy mówimy o wygodnych butach, wygodnym światopoglądzie czy wygodnym, ułatwionym życiu. Przesadne zamięłowanie do wygod, zwane wygodnictwem, razi nas — i słusznie — natomiast amerykańskie hasło „take it easy” („bierz to łatwo”, nie rób sobie z tym problemu, spróbuj podejść do tego czy owego jak najprościej!) wydaje się zasługiwać na aprobatę — z tym jednak zastrzeżeniem, że „to, co wygodne, nie zawsze jest godne”, jak mówi polskie przekadło.

Któż nie szuka wygody? Każdy o nią zabiega, tak by się zdawało; a jednak czasem — nawet pomijając jakieś względy incydentalne i uboczne — kwalifikuje się ona wyraźnie do oceny negatywnej. Siłą rozpędu rodzi bowiem paradoksalne „frudności z ułatwień”, ów jakiś ambaras z nadmiaru wygody, w jaki popadają ludzie, którzy jej zbyt zaufali. Z architektonicznych klocków współczesnych osiedli mieszkaniowych wieje melancholią, „hydra nudy”⁴ czai się na powierzchni spokojnego oceanu życia, nerwice emerytalne i świąteczne dokuczają ludziom, kłopoty z układem krążenia nękają tych, którzy „nade wszystko wolą” wszędzie toczyć się na kółkach zamiast stąpać drobną, ale własną nóżką do miasta na zakupy czy do miejsca pracy⁵. „Człowiek wygody” — główny

⁴ Przypomnijmy sobie „samotny biały żagiel” Lermontowa, co to „w pogodnym chwieje się lazurze — słoneczny go owiewa pył — a on, rebeliant, wzywa burzę — jakby spoczynek... w burzach był”.

⁵ Cechą cywilizacji naszej technicznej jest zresztą także i to, jak wiadomo, że produkuje ona nie tylko wiele rzeczy zbytecznych najzupełniej, ale i wiele

produkt tej cywilizacji — im bardziej gorączkowo szuka spokoju i udogodnień, tym bardziej czuje się źle, im zaś gorzej się czuje, tym skwapliwiej ucieka przed trudem. Jest to groźny *circulus* o charakterze sprzężenia zwrotnego, błędne koło toczące się czasem wprost ku cmentarzowi.

Na szczęście człowiek — zwłaszcza młody i pełen jeszcze wigoru — zdaje sobie na ogół sprawę również dziś z wartości, jaką niesie przeszkoda i trud. *Per aspera ad astra* — mawiali już starożytni. To, co trudne, okazuje się często cenne — i to nie tylko z tej racji, że pełni funkcję instrumentalną w tworzeniu przedmiotów pozwalających jakoś łatwiej żyć. Chodzi w tej chwili o pozytywne walory trudności samej w sobie. Z pogardą i dysgustem patrzy np. taternik, alpinista czy himalaista na łatwe wejście na szczyt. Ceni sobie natomiast wejścia trudne, aczkolwiek równocześnie — jeżeli jest rozsądny — robi wszystko, aby sobie ułatwić ten jakiś trudny, czy bardzo trudny problem wspinaczkowy za pomocą dobrej liny, dobrych haków, dobrych butów i rękawic, a także (*last but not least*) dobrej kondycji własnej. Tylko przecież dzięki takiemu postawieniu sprawy dwaj nasi rodacy osiągnąć mogli niedawno — jako pierwsi w sezonie zimowym — najwyższy szczyt najwyższych gór świata.

Takim oto dziwnym stworzeniem jest człowiek. Ceni on sobie komfort zarówno w ataku, jak w ucieczce i dzięki temu osiąga wcześniej czy później sukcesy; ale z chwilą, gdy staje się „człowiekiem wygody”, przegrywa, jeżeli nawet nie zewnątrz, to wewnątrz. Łatwizną żyć nie warto, bo dopiero mierząc się z przeszkodą — jak powiada Antoine de Saint-Exupéry — człowiek poznaje siebie. Pozytywna rola przeszkód i niebezpieczeństw w życiu aż nadto jest widoczna, by trzeba było jej dowodzić *per longum et latum*, chyba że są nie do pokonania i nie nadają się na życiowy „bieg przez płotki”.

Cóż z kolei powiemy o życiu człowieka, który postawił w nim na inną kartę, na kartę z napisem „przygoda”? Porównanie z kartami o tyle jest na miejscu, że dla człowieka tego drugiego pokroju przedstawia się często cała jego doczesna egzystencja jako jedna wielka, ryzykowna, a przez to i fascynująca gra. Pod tym przede wszystkim kątem patrzy on na siebie i na innych ludzi. „Człowiek przygody” tęskni za ustawiczną odmianą, za miłym wstrząsem, jaki ta odmiana wywołuje. O ile wygoda to pewien ukwalifikowany stosownie stan rzeczy, który nawet w ruchu jest przeżywany biernie, o tyle przygoda jest ewenementem: odnudającym wydarzeniem, dynamicznym przeżyciem, w trakcie któ-

samych potrzeb niepotrzebnych zgoła, a raczej potrzebnych chyba po to tylko, aby można było reklamować z kolei i sprzedawać liczne, nader nieraz wymyślne środki na ich zaspokojenie.

rego człowiek sprawdza, na co go stać, jakie w nim drzemią potencje, czasem ukryte a warte — być może — rozbudzenia.

Życie pełne przygód od wieków pociągało i pociąga niejednego również dziś. „W Stanach Zjednoczonych co najmniej tuzin biur turystycznych specjalizuje się w organizowaniu «wczasów wielkiej przygody», nietypowych pobytów w różnych zakątkach świata dla ludzi, którzy podczas wakacji szukają czegoś więcej, aniżeli spokojnego relaksu” — taką oto notatkę przeczytałem niedawno w gazecie. A jak patrzono dawniej na te sprawy? Oto Juliusz Słowacki w jednej ze strof *Beniowskiego* składa swoje wyznanie wiary w Boga, który jest „nie tylko robaków Bogiem, i tego stworzenia, co pełza; On lubi huczny lot ogromnych ptaków i rozhukanych koni On nie kiełza”. Bardzo to romantyczne, przyznajmy, ale moralnie trochę podejrzone. Człowiek, ów „rozhukany koń” czy „ptak ogromny” — żyjący od przygody do przygody — jeżeli tylko tym żyje, niewiele (w gruncie rzeczy i wbrew pozorom) różni się od „urodzonego w niedzielę” wygodnisia. Oba żyją jedynie wartościami przeżyciowymi, żyją chwilą, żyją przeżywaniem; z tą tylko różnicą, że myśl o wygodzie czy wygodach opanowuje zwykle człowieka, któremu energii nie dostaje, więc raczej w wieku zaawansowanym; żądza przygód zaś owłada z reguły kimś dysponującym energią życiową w nadmiarze. I „człowiek wygody” i „człowiek przygody” to ludzie we władaniu żądz, wodzeni za nos — jeżeli tak wolno się wyrazić — przez coś, od czego nie mogą wyzwolić się wewnątrz, dopóki — mówiąc obrazowo — nie poszukają wyjścia znajdującego się w pułapie tych dwu równie ślepych korytarzy. Wszystkie ich przedsięwzięcia i działania, nawet te sterowane od wewnątrz, nie wypływają z centralnej wartości, jaką jest osoba, bo wartość ta — wspomniana tu już przed chwilą jako osobowa godność ludzka — domaga się dyspozycjonalności wobec każdego obowiązku, a nie tylko wobec powinności wygodnych albo trudnych, lecz fascynujących. Spełnianiem obowiązków moralnych człowiek żyje: żyje tym znacznie głębiej i istotniej, niż samym przeżywaniem czegokolwiek. Obowiązki zaś te są często i nudne i niewygodne równocześnie. Wtedy dopiero i przez to „spełnia się” człowiek w sposób integralnie ludzki, dochodzi w relacjach interpersonalnych do pełni, do jakiej jest powołany.

Przygoda i wygoda — oba te typy wartości czysto przeżyciowych — nadają się, co prawda, do tego, aby je przeżywać na bieżąco, ale nie nadają się do tego ewidentnie, aby głównie czy wyłącznie żyć — bo nie byłoby to życie w pełni po ludzku, na miarę osobowej godności człowieka.

Człowiek w swojej naturze i kulturze zaproszony został podstawowo i konstytucjonalnie do tego, aby starał się stale i na każdym kroku wykraczać poza i ponad to, co nazywamy „przeżywaniem”. „Człowiek wygody” i „człowiek przygody” to „ludzie przeżywania”, to w obu wy-

padkach człowiek niepełny i okaleczony. Również kultury i subkultury środowiskowe w ślad za tym owładnięte czy to kultem wygody, czy to kultem przygody, są chore. U źródeł tej całej patologii tkwi błąd polegający na tym, że na miejsce naczelne, zastrzeżone dla wartości ponadprzeżyciowych, transcendentnych, wprowadza się wartości przeżywania jako miarodajne w sposób absolutny, którym wobec tego zawsze i wszędzie przyznaje się pierwszeństwo. Owa płytką, błędna i zwodnicza aksjologia funkcjonuje nie tylko w ramach kultury wewnętrznej i jednostkowej, ale — jak się rzekło — znajduje właściwy sobie wyraz w społecznym stylu życia — czy to jako akceptowana mniej lub więcej powszechnie, czy to jako lansowana dopiero przez jakieś wpływowe i „nadające ton” ośrodki („ogniska”) kultury masowej albo elitarnej.

Wydawać by się mogło, że poszczególne formacje kulturowe — podobnie jak jednostki — które zbyt zapatrzyły się czy jakoś zapędziły w kierunku wygody czy przygody, uratować może jakieś rozbełtanie na zasadzie „pół na pół” obu tych ogólnozyciowych orientacji. Jednostronność, jak wiemy z licznych a przykrych doświadczeń własnych i cudzych, z reguły jest szkodliwa. Stroniące od ryzyka wygodnictwo zgubiło niejedną kulturę; podobnie kult niebezpieczeństwa i hazardu ilekroć zdobywać niepodzielną dominację w jakiejś grupie społecznej, tylekroć — wcześniej czy później — sprowadzał ją na brzeg przepaści.

Wygoda i przygoda — jako organizatorki wyobraźni zbiorowej i teologii — nie są ustosunkowane wobec siebie sprzecznościowo; z góry więc można przewidzieć, że człowiek aspirujący w swoim życiu do jakiejś dynamicznej równowagi będzie się starał oba *leitmotivy* te jakoś synkretyzować, tworzyć z nich pewne psychiczne czy biograficzne aliaże i syndromy, w których gniewliwo-bojowe umiłowanie ryzyka i niebezpieczeństwa stapiałoby się w jedną jakby bryłę czy raczej jeden życiowy nurt z pożądaną uciechą, jakiej dostarcza łatwizna. Tak dzieje się przecież prawie co wieczora w milionach domów, w których przed szklanym ekranem zasiada umasowiony *homo spectator*, aby w ciepłych papuciach i z jakimś — dajmy na to — pachnącym kąskiem na widelcu oglądać „dantejskie sceny” czy „mrozące w żyłach krew” epizody z — tragicznego nieraz naprawdę i do głębi — życia innych ludzi. Dodać tu może warto, że podczas gdy cudza wygoda od konsumpcji się raczej nie nada, to cudze przygody odnudzają nas niekiedy tak dobrze jak własne. Z podanych wyżej powodów owo remedium na jednostronność — ów „kogel-mogel” z wygody i przygody — musi jednak zawodzić w praktyce, zwłaszcza na dłuższy dystans i w perspektywie głębszej.

Jeśli konkluzja ta jest słuszna, to jakie — zapytajmy z kolei — stanowisko zajmuje, czy też zająć winna wobec alternatywy tego rodzaju

praktyka chrześcijańska? Otóż skoro nie, co ludzkie, nie powinno nam być obce, jak głosi jedna z naczelnych zasad humanizmu w ogóle, a więc chrześcijańskiego w szczególności, warto podkreślić, że w chrześcijańskiej koncepcji kultury nie chodzi ani o bezpardonowe zwalczanie wszelkich wygod, ani o to, aby lękać się ewentualnej przygody, choćby i ryzykownej, gdy ją nadarzy los. Chodzi o sublimację obu tych przedstawionych tutaj tendencji — ku wygodzie i ku przygodzie. Innymi słowy, chodzi o to, aby ani w sybaryckim jakimś wygodnictwie, ani w gorączkowym łowieniu przygód nie pogrążało się ludzkie serce i ludzkie życie. Nie wolno go puszczać samopas na jakieś „ośle łączki”, gdzie wygoda i przygoda jawią się jako dwie — może na pozór tylko radykalnie rozbieżne — drogi ucieczki z krainy obowiązków. Tak więc wartości te, jakkolwiek mogą być i — bywają — pożądanym współczynnikiem stylu i jakości życia, to zwłaszcza gdy chodzi o życie chrześcijańskie, nie mogą (tzn. nie powinny) wyznaczać zasadniczej jego dominanty. Tylko też podniesienie obu tych ogólnozyciowych orientacji na wyższą orbitę i w szersze aksjologiczne perspektywy życia duchowego zabezpieczyć może dostatecznie człowieka — jego naturę i kulturę — przed załamaniem się we własną pustkę. Człowiek dojrzały wewnątrznie, *homo maturus*, pragnie bowiem nie tylko wygody i przygody. Pragnie intymności, swojskości, solidarności, akceptacji, a także wielu innych wartości, dla jakich (czy z uwagi, na które) warto żyć. Jeżeli swoim idolem uczynił wygodę czy przygodę, musi w sobie zdetronizować to bożyszcze, aby mógł zacząć żyć w pełni po ludzku, jako *homo Dei*.

Staralem się tu przedstawić dokładniej jedną tylko z wielu aksjologicznych alternatyw, jakie funkcjonują w kulturze współczesnej i nadają jej takie czy inne zabarwienie. W tajemniczy, bo ciągle jeszcze nie dość spenetrowany, świat wartości spojrzeliśmy poprzez szczelinę otwierającą się między wygodą a przygodą; ale szczelin takich jest więcej; dość wspomnieć na tę, jaka rozciąga się między rozrywką a rozgrywką, albo między „muszę chcieć” a „chcę musieć” jako naczelnymi hasłami w życiu każdego z nas. Afekty czy efekty? — atrakcje czy abstrakcje? — oto co dzień powracające ogólnozyciowe dylematy — jedno z wielu. Całe zresztą cywilizacje w toku swej historii oscylować mogą i oscylują rzeczywiście pomiędzy takimi biegunami jak ideacjonizm i sensytywizm, pryncypializm i sentymentalizm, uniformizm i pluralizm, konformizm i nonkonformizm itd. — wyliczać by je można długo. Jeśli cywilizację naszą ująć próbowałem w szczytce wygody i przygody — a nie w jakieś inne — to może i dlatego, że ujęcie takie wydało mi się dość wygodne, a przy tym obiecywało pewną przygodę, jakkolwiek tylko intelektualną.

ALTERNATIVES IN CULTURE

Summary

In every kind of cultural formation there exists a certain consistence in the observation of forms and standards. The behaviour of individuals and social groups is influenced by them and the values resulting from the adopted standards determine the general line of life and equally importantly, the quality of life.

The author analyses such general possibilities in life, to a degree antagonistically directed, taking as an example the antinomy between "comfort" and "adventure". He concludes that both "the man of comfort" as well as „the man of adventure" are much too one-sided, treating their own and other people's existence in a purely emotional way. Spiritual values, which do not necessarily evoke emotions, are more important for human culture and only they can ensure the man authentic and stable inner integration and in consequence a sense of purpose in life (both individual and common) in a world conceived of as a continually developing pluralistic unity.